



Przemówienie

Prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Joachima Gaucka z okazji pierwszego Dnia Pamięci o Ofiarach Ucieczek i Wypędzeń w dniu 20 czerwca 2015 roku w Berlinie

O wykorzenionych chcemy dziś mówić.

O uchodźcach i wypędzonych, zmuszonych do emigracji.

O pozbawionych ojczyzny niegdyś i o pozbawionych ojczyzny dziś i jutro.

O ludziach, którzy już nie są tam - a też jeszcze nie całkiem tutaj.

O ludziach, którym czegoś brak, a równocześnie są szczęśliwi, że nie muszą przebywać tam, dokąd tęsknota kieruje ich myśli.

O wykorzenionych chcemy dziś mówić.

O ludziach – obojętnie, czarnych czy białych, młodych czy starych, mężczyznach czy kobietach, chrześcijanach, Żydach czy muzułmanach – o wszystkich tych ludziach, którzy głęboko w duszy doznali tego samego bolesnego doświadczenia, ujętego przez pisarza Jean Améry'ego, uchodźcy przed nazistowskimi Niemcami i ocalałego z Bergen-Belsen, w lapidarnym sformułowaniu – dla jednych pocieszającym, dla innych przygnębiającym: „Trzeba mieć ojczyznę, by jej nie potrzebować.”

Po raz pierwszy Niemcy - podczas oficjalnego Dnia Pamięci obchodzonego w całej Republice Federalnej Niemiec - wspominają teraz te miliony Niemców, którzy pod koniec II wojny światowej w przymusowy sposób utracili swoją ojczyznę. Poprzez to Niemcy po raz pierwszy obchodzą w urzędowy sposób Światowy Dzień Uchodźcy, tak jak został on ustanowiony 15 lat temu przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych. Gdyż ówczesne i dzisiejsze losy, ówczesny żal i oczekiwania oraz dzisiejsze lęki i nadzieje na przyszłość stanowią egzystencjalną jedność par excellence.

Życzyłbym sobie, aby pamięć o ówczesnych uchodźcach i wypędzonych, mogła pogłębić nasze zrozumienie dla współczesnych uchodźców i wypędzonych. I na odwrót – aby zajmowanie się ludźmi wykorzenionymi w dzisiejszej dobie mogło wspierać naszą empatię dla ludzi wykorzenionych wówczas.

Wykluczanie, prześladowanie i wypędzanie ludzi miało miejsce od niepamiętnych czasów. Znamy z historii konflikty pomiędzy ludnością osiadłą a no-madami, pomiędzy ludnością miejscową a napływową. A w państwie narodowym XIX i XX wieku mniejszości postrzegano częstokroć jako potencjalnie nielojalne, jako ciała obce, które należało asymilować lub wymienić, wypędzić a nawet zgładzić. Przez pewien czas polityka postrzegała nawet wymianę ludności jako sprawdzony środek do rozwiązywania konfliktów.

Tak zwany „transfer ludności” milionów Niemców z Prus Wschodnich, Pomorza, Śląska, Czech, z Baczki i z wielu innych okolic Europy Środkowo-Wschodniej również dla przywódców rządów państw alianckich Churchilla, Trumana i Stalina wydawał się stanowić adekwatną odpowiedź na śmierć i terror, którymi nazistowskie Niemcy załamywały kontynent. Gdy w sierpniu 1945 roku poprzez układ poczdamski stworzono do tego podstawy prawne, miało to już miejsce wobec faktów dokonanych: miliony Niemców już wybrało drogę ucieczki i zostało wypędzonych ze Wschodu Niemiec, z Polski, z Czechosłowacji, z Węgier, z Jugosławii, z Rumunii. I to, co miało się odbywać „w sposób zorganizowany i humanitarny”, okazało się w rzeczywistości koszmarem.

Najpierw uchodzili przed wojną. Przy dokuczliwym mrozie kolumny kobiet i dzieci i starców brnęły zapchanymi drogami i po kruchym lodzie, ostrzeliwani przez samoloty szturmowe i zaskakiwani przez front. Całkowicie przeładowane statki z uchodźcami tonęły w Morzu Bałtyckim trafione przez torpedy i bomby. Niezliczone kobiety zostały zgwałcone.

A potem wielu z tych, którym wydawało się, że pozostali w starej ojczyźnie, stali się ofiarami nienawiści i odwetu: pozbawiani praw, wyłączeni, aresztowani, maltretowani, wysyłani na Marsze Śmierci, mordowani, internowani, włączani do pracy przymusowej, wypędzani najpierw rzekomo „na dziko”, a potem rzekomo „w sposób zorganizowany”, deportowani jako „żywa reparaacja” do obozów pracy w Związku Radzieckim. Ostatni z nich wrócili dopiero w 1955 roku.

„O ile sumienie ludzkości miałoby się jeszcze kiedykolwiek uwrażliwić”, wyjaśniał wielki humanista, brytyjsko-żydowski wydawca Sir Victor Gollancz w 1947 roku, „wówczas to wypędzenie pozostanie jako wieczna hańba w pamięci wszystkich tych, na polecenie których się ono dokonało bądź tych, którzy na nie przystali. Niemcy zostali wypędzeni, jednakże nie tylko przy braku nadmiernego respektu, lecz z najwyższą brutalnością jaką można sobie wyobrazić” koniec cytatu.

Setki tysięcy ludzi zginęło w okresie powojennym w wyniku walk zbrojnych, chorób, głodu, gwałtów, również z wycieńczenia i wskutek pracy przymusowej. Łącznie 12 do 14 milionów Niemców pod koniec II wojny światowej utraciło swoją ojczyznę w wyniku uciezek i wypędzeń. Ludność na tych terenach, które później miały otrzymać nazwy: Republika Federalna Niemiec i Niemiecka Republika Demokratyczna, powiększyła się o prawie 20 procent.

Powinniśmy to sobie właśnie dzisiaj na nowo uświadomić, że ucieczka i wypędzenie odmieniają nie tylko życie tych, którzy są przyjmowani, lecz również życie tych, którzy przyjmują, nie tylko życie „nowych”, lecz i „starych” mieszkańców danego kraju czy danej krainy.

Pamięć uciezek i wypędzeń Niemców była w naszym społeczeństwie prawie zawsze trudna i prawie zawsze naładowana emocjami. Gdyż nasza postawa wobec cierpienia Niemców była i pozostała związana z naszą postawą wobec winy Niemców. Trwało to dziesięciolecia, zanim – znów – mogliśmy przypominać cierpienie Niemców, gdyż już przestaliśmy milczeć na temat winy Niemców.

Droga w tym kierunku była długa i nie zawsze prosta.

W radzieckiej strefie okupacyjnej i w NRD zakładanie niezależnych organizacji uchodźców było od początku zabronione. Wspomnienia tak zwanych przesiedleńców na temat starej ojczyzny przez długi czas nie były mile widziane. Wypędzenia uznawano jako uzasadnioną reakcję na nazistowską politykę okupacyjną i zagłady. Krytyka gwałtów dokonanych przez Armię Czerwoną oraz wypędzeń ze strony Czechów i Polaków była tłumiona. Już w 1950 roku partia SED sprawująca władzę państwową dokonała rezygnacji z niemieckich terenów wschodnich, poprzez uznanie linii Nysy i Odry jako polsko-niemieckiej granicy państwowej, co nawet na łonie partii wywołało zakłopotanie – a tym bardziej naturalnie wśród wielu wypędzonych w NRD.

Ani zrzeczenie się, ani tabuizowanie, ani ideologiczna reinterpretacja nie były jednak w stanie usunąć smutku i traumy. „Nie da się nie opłakiwać wyjścia z ojczyzny”, pisała Christa Wolf w 1976 roku w swojej powieści „Wzorce dzieciństwa”. W wieku 15 lat uciekała przed frontem, z położonego we Wschodniej Brandenburgii Landsbergu, który dziś nosi nazwę Gorzów Wielkopolski.

Na Zachodzie Niemiec w polityce posługiwano się najpierw wypędzeniami do tego, aby oskarżać ekspansję Związku Radzieckiego, niegodziwe czyny Armii Czerwonej i bezprawie tak zwanych „państw dokonujących wypędzeń”. Co prawda związki wypędzonych już wcześniej zrezygnowały z użycia siły, a rewanżyzm, którego obawiali się Alianci w znacznej mierze nie dochodził do głosu. Tym niemniej chrześcijańscy demokraci jak dla socjaldemokrati stali na stanowisku, że „podzielenie na trzy części – nigdy”. Jeszcze w 1963 roku Willy

Brandt ogłaszał na spotkaniu ziomkostw Ślązaków: „rezygnacja jest zdradą”.

Niemcy – i bynajmniej nie tylko wypędzeni – postrzegali siebie wówczas przede wszystkim jako ofiary.

Zmiana perspektywy rozpoczęła się w szerszych kręgach dopiero w połowie lat 60.; zasadniczo zainspirowana Wschodnim Memorandum Kościoła Ewangelickiego w Niemczech oraz Orędziem polskich biskupów katolickich do niemieckich biskupów, pod znamienym tytułem: „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie.” Wraz z zawarciem Układu PRL-RFN z 1970 roku nowa polska granica zachodnia została de facto uznana ze strony rządu federalnego oraz – niewielką większością głosów – również ze strony parlamentu. Ówczesne dyskusje w niemieckim społeczeństwie były bolesne, ale były one konieczne dla znalezienia nowych dróg.

Wielu z Państwa, jak dzisiaj tu jesteśmy zebrani, pewnie pamięta olbrzymie rozczarowanie, a nawet gorycz, jakimi liczni wypędzeni zareagowali na faktyczną rezygnację z terenów wschodnich. W sercu ciągle jeszcze przecież było ciężko zaakceptować realia, również dlatego, że ziomkostwa jak i politycy partii przez długie lata obstawali przy żądaniach i rozniecali iluzje. Lecz „nikt nie może już dziś mieć nadziei, że utracone tereny jeszcze kiedykolwiek znowu będą niemieckie”, jak wyraziła to Marion Gräfin Dönhoff. „Kto myśli inaczej, ten musiałby już marzyć o tym, aby zdobyć je na powrót przemocą.” Związki wypędzonych, które obrały kurs konfrontacji wobec nowej polityki wschodniej rządu Brandta, były odtąd przez wielu postrzegane jako wichrzyciele nowej orientacji polityki zagranicznej, a wreszcie - jako podżegacze.

Od lat 70. Niemcy w coraz większym stopniu uczyli się tego, aby postrzegać swoje cierpienie w kontekście historycznym. To co stało się ich udziałem, było postrzegane na tle tego, co Niemcy przedtem uczynili innym. Bo to przecież na-zistowskie Niemcy były tymi, które przyniosł Europie śmierć i zepsucie, które sprawiły, że wypędzenie, przemoc, terror okupacyjny i zagłada stały się codziennym doświadczeniem wielu narodów Europy. Te inne Niemcy, których zamierzeniem była zagłada, które też opracowały „Generalny Plan Wschodni”, zgodnie z którym całe narody jako rzekomo mniej wartościowe miały zniknąć z mapy i miały po części zostać wymordowane.

Tak jak w latach poprzednich akcentowanie cierpienia Niemców służyło temu, aby zdejmować ciężar winy z Niemców, tak świadomość winy Niemców wyparła jed-nakże jakąkolwiek empatię wobec Niemców. Utrata ojczyzny była w znacznej mierze akceptowana jako przypuszczalnie konieczna kara za zbrodnie Niemców. Tak myślało również wielu mieszkańców NRD, i taki wzorzec interpretacji usiłowała narzucić rządząca tam dyktatura SED.

Dziś nie potrafię, jako ten który tam mieszkał, myśleć o tym bez pewnego zażenowania. Gdyż w latach 50. – jak większość Niemców Wschodnich – o losach wypędzonych byłem obszernie informowany przez wypędzonych, osoby z naszego otoczenia, albo przez media zachodnioniemieckie. I gdy wspominam długie niedzielne popołudnia mojego dzieciństwa i młodości, mam jeszcze w uszach wiele radiowych koncertów życzeń północnioniemieckiej rozgłośni radiowej - jak się ona wówczas zwała, dziesiątki razy docierała do moich uszu pieśń o Prusach Wschodnich i sam odczuwałem e sobie tęsknotę za „krajem ciemnych lasów i krystalicznych jezior”, chociaż byłem przecież meklemburczykiem. Jest to tym bardziej niepojęte, dlaczego wtedy ja, dlaczego my miejscowi później tak chętnie wyparliśmy to, że inni, wypędzeni, zapłacili nieskończenie wyższą cenę za brutalną, okrutną wojnę niż my. Dlaczego my, którzy zachowaliśmy naszą ojczyznę, zaczęliśmy dokonywać rozliczeń i wskazywaliśmy na własne bombardowania i zabitych po to, aby się uodpornić na żalobę tych innych, którzy do nas przybywali. Poprzez tezy polityczne blokowaliśmy empatię, która bylibyśmy w stanie odczuwać.

Dziś wiem, że kto się broni przed uczuciami innych, ten się broni również przed własnymi uczuciami. Za to otwartość na cierpienie innych prowadzi do zrozumienia, prowadzi do bliskości. Powinniśmy pamiętać również o tym dziś, gdy w naszej miejscowości, w naszej dzielnicy czy w naszym sąsiedztwie obcy otrzymują zakwaterowanie lub potrzebują schronienia. Zrozumienie dla cierpienia innych stanowi podstawowy warunek współżycia między ludźmi.

Jednakże zrozumienia dla cierpienia innych brakowało wówczas w Niemczech chwilami nawet synom i córkom uchodźców i wypędzonych. Wielu z nich nie chciało nawet słuchać o utraconym domu rodziców i historii ich ucieczek. Było im wstyd, gdy podczas imprez urodzinowych, kiedy robiło się późno intonowano stare pieśni z rodzinnych stron i gdy krewnym napływały łzy do oczu. Miłość ojczyzny była po prostu zdyskredytowana wskutek nazistowskiej propagandy, u wielu też przez romantyczno-ckliwe filmy z lat 50. na temat stron rodzinnych jak również przez retorykę niektórych działaczy organizacji wypędzonych. Współczucie z wypędzonymi nierzadko uznawano jako relatywizację winy historycznej, jako rewizjonizm histo-ryczny, jako czynienie ofiar ze sprawców.

Całe szczęście nasze społeczeństwo od początku lat 90. stopniowo porzuciło swoją tymczasową postawę obronną. Politycznie sytuacja była jasna tak czy inaczej: Traktat dwa plus cztery i polsko-niemiecki traktat graniczny między Rzeczpospolitą Polską a zjednoczonymi Niemcami potwierdziły ostatecznie wiążący charakter granicy na Odrze i Nysie w świetle prawa międzynarodowego.

Poza tym Europa zrosła się na nowo. Można znów swobodnie podróżować w te okolice, które na cztery dziesięciolecia zniknęły za żelazną kurtyną. Setki tysięcy wypędzonych i ich dzieci od lat 90. stawało przed już-nie-domami-rodzinnymi, przed już-nie-zborami-protestanckimi, przed już-nie-niemieckimi-budynkami-szkoły i na terenach przypominających parki bądź też porośniętych dziko, gdzie często nadaremnie szukali grobów swoich krewnych. A gdy ponadto Niemcy właśnie w tych latach jeszcze przyjęły setki tysięcy uchodźców z wojny domowej w Jugosławii, wielu zadawało sobie z zażenowaniem pytanie: jakim prawem możemy odmawiać naszym własnym matkom i babkom tej empatii, którą słusznie okazujemy zgwałconym kobietom w Bośni? Doświadczenie aktualnego bezprawia przyczyniło się do podchodzenia do tego, co miało miejsce dawno w przeszłości, z nową empatią.

Ten kto jest zmuszony do opuszczenia swojej ojczyzny, częstokroć przez całe swoje życie odczuwa ranę, która goi się tylko powierzchownie i ciągle na nowo pęka. Tak zatem nauczyliśmy się podchodzić z szacunkiem do tego, co kulturoznawczyni Aleida Assmann określiła w następujących słowach: „Istnieje coś takiego jak prawo człowieka do własnej pamięci, którego nie sposób usunąć poprzez cenzurę i tabuizowanie.”

Günterowi Grassowi nie wystarczyło nawet 800 stron „Błaszanego bębenka”, aby przelać na papier ciężar na duszy po utraconym Gdańsku. 43 lat później, gdy Grass miał już 75 lat, musiał w „Idąc rakiem” po raz kolejny zainscenizować upadek ojczyzny. Podobnie Siegfried Lenz poprzez swoje opowiadania o Sulejkach nie mógł się ciągle jeszcze uwolnić od swojej ojczyzny. Ponad 20 lat później po raz kolejny pobudził Mazury do życia i był wówczas w stanie tylko siłą rozstać się z nimi, gdy po-dłożył ogień pod „Muzeum ziemi ojczystej” ze wszystkimi jego eksponatami, pozostałymi po ucieczce.

Dziś istnieje również wielu potomków – synów i córek – którzy, sami już podeszli w latach, dopuszczają na nowo to samo pytanie, które niegdyś zadała Christa Wolf: „Jak staliśmy się takimi, jacy dziś jesteśmy?”. Tak oto dziesięciolecia po tych wydarzeniach przeżywamy coś wspaniałego: odzyskanie empatii, którą jesteśmy w stanie odczuwać. nareszcie głębsze zrozumienie ze strony potomnych wobec traumy ich wypędzonych matek i ojców, nareszcie głębsze zrozumienie ze strony miejscowych dla swoich sąsiadów i kolegów, którzy niegdyś przybyli jako uchodźcy i wypędzeni. I nareszcie kompleksowa pamięć wojny i czasów powojennych, w której jest miejsce dla żałoby, winy i wstydu.

Utworzenie Fundacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie w 2008 roku, które w zasadniczej mierze odbyło się z inicjatywy Związku Wypędzonych, pani Steinbach, stanowi dla mnie ważny znak tego procesu; ucieczka i wypędzenie Niemców wchodzi do świadomości

historycznej całego narodu, włączone w kontekst, który już nas właśnie nie dzieli od naszych sąsiadów, od tych, którzy niegdyś byli przeciwnikami na wojnie, lecz umożliwia nowe porozumienie.

Przez dziesięciolecia w państwach Europy Środkowo-Wschodniej wypędzenie Niemców należało do ideologizowanych i instrumentalizowanych politycznie tematów, wypędzenie uznawano za sprawiedliwą karę za niemieckie zbrodnie, a Niemcy Zachodnie – za siedlisko rewanżyzmu i rewizjonizmu. Na bazie tych tez rządów komunistycznym udawało się wiązać ze sobą nawet tych ludzi, którzy poza tym byli wobec nich głęboko nieufni.

Dopiero po 1989 roku, gdy udostępniono archiwa i gdy upadły bariery ideologiczne, a ludzie mogli bez przeszkód prowadzić wymianę i zniknął lęk przed rewizją granic i żądaniami zwrotu mienia, wówczas również Polacy, Węgrzy i inne narody Europy Środkowej mogły krytycznie spojrzeć na swoją własną historię. Tak zwane „czystki etniczne” – jako metoda prowadzenia polityki – są obecnie wszędzie – przy najmniej w Europie zdyskredytowane, a dokonane w przeszłości wypędzenia w coraz większym stopniu uznawane są za bezprawie. Istnieją tego imponujące świadectwa, jak na przykład te:

- Rada Narodowa Słowacji poprosiła Niemców karpaccich już na początku 1991 roku o przebaczenie za ewakuowanie i wypędzenie.

- Władysław Bartoszewski, niezmordowany budowniczy mostów pomiędzy Polską a Niemcami, oświadczył w 1995 roku w Niemieckim Bundestagu: „Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest [...] usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy.”

- Na Węgrzech w 2012 roku parlament wyznaczył 19 stycznia Narodowym Dniem Pamięci Wypędzeń Niemców węgierskich i Szwabów dunajskich, po tym gdy już w marcu 1990 roku potępiono tam wypędzenia oraz przeproszono ofiary i ich potomnych.

- Parlament Rumunii potępił deportację zdolnych do pracy Niemców ru-muńskich do Związku Radzieckiego jako prześladowania polityczne i w ostatnim czasie przyznał wypłatę odszkodowań również tym Niemcom, którzy już nie mieszkają w kraju.

- W Czechach miasto Brno z okazji 70. rocznicy tak zwanego Brneńskiego Marszu Śmierci oficjalnie poprosiło ofiary wypędzeń o przebaczenie. „Już tak nie boli, gdy przyznajemy się do błędów”, powiedziała młoda czeska pisarka Kateřina Tučková, „Wręcz przeciwnie, odczuwamy to jako konieczność i oczyszczenie.”

Dopóki Europa była podzielona, dopóty prawie niemożliwe wydawało się to, czego obecnie doświadczamy coraz częściej, a mianowicie, że obciążenia relacji pomiędzy naszymi narodami nie są już usuwane poza nawias, i że nie ma miejsca licytowanie się cierpieniem. Gdy ludzie opowiadają sobie swoje historie, wówczas utrata ojczyzny może być przeżywana jako wspólne doświadczenie

egzystencjalne, jako głębokie wewnętrzne współodczuwanie z tą drugą osobą, niezależnie od jej przynależności narodowej czy religijnej. Niemiecka przeszłość stała się zatem coraz bardziej również częścią historii Polski, Czech, Słowacji, Łotwy i Węgier – a w świ-adomości Polaków, Czechów, Węgrów jest niejednokrotnie bardziej żywa niż w świ-adomości Niemców.

Chciałbym wykorzystać ten dzień do tego, aby wyrazić moją głęboką wdzięczność wobec naszych sąsiadów za gesty podjęte w duchu swobody oraz za ich nowe zaufanie.

Niechęć wobec obcych istniała we wszystkich czasach. Przeżywamy to obecnie, przeżywaliliśmy to po 1945 roku, pomimo że w przypadku uchodźców chodziło o rodaków, którzy byli zakorzenieni w tej samej kulturze i stanowili poniekąd część tej samej historii narodu. Obcym – taki jest z tego morał – jest zawsze ten, który jako nowy wchodzi do już istniejącej grupy i jest odbierany jako intruz. Zawsze się znajdują powody do pójścia na dystans i do odtrącenia.

Uchodźcy i wypędzeni po zakończeniu wojny byli przecież też częstokroć dys-kryminowani i wyzywano ich od Polaczków, Cyganów, Niemców z tobołkami albo od nędzarzy. Byli napiętnowani jako zacofani i rzekomo w szczególny sposób przysłużyli się nazistowskiej Rzeszy. I tak oto brak solidarności znajdował dodatkowo cyniczne uzasadnienie.

Nie tylko wyzwiska z opowieści z tamtych czasów wydają mi się dziwnie znajome; nikt prawie nie chciał swojego domu dzielić z „obcymi”; przy ubieganiu się o wolne miejsca pracy preferowano miejscowych; różnice kulturowe z rzadka budziły zaciekawienie i zainteresowanie. Jeszcze latami miejscowi obchodzili swoje własne święta i odprawiali swoje własne nabożeństwa, krzywiąc się na obce dialekty i obce zapachy.

Długo to trwało, zanim Niemcy stały się pogodzone z sobą krajem. Krajem, w którym jedni mogli zachować ojczyznę, a drudzy – zyskać ją na nowo. Krajem, w którym jedni nie czuli się obcy, a a drudzy – wyizolowani.

Doświadczenie pomyślnej integracji uchodźców nie było przypadkiem jednostkowym. Niemcy Zachodnie w ciągu dziesięcioleci przyjęły prawie cztery miliony uchodźców z NRD. Dały nowy dom dziesiątkom tysięcy emigrantów z komunistycznych państw Europy Środkowo-Wschodniej, ponadto uchodźcom z terenów, na których toczyły się wojny domowe, które znalazły się pod panowaniem dyktatur wojskowych i które ucierpiały wskutek rozpadu państw, czy to Grecji czy Turcji, Iranu czy Jugosławii. Niemcy zebrały zatem dużo doświadczeń w relacjach z uchodźcami i wypędzonymi, pozytywnych doświadczeń, do których zbyt rzadko sięgamy w dyskusji publicznej. A

przecież takie upewnienie się dobrze by nam zrobiło, gdy obecnie jesteśmy konfrontowani z nowymi wyzwaniami.

Nigdy jeszcze od zakończenia II wojny światowej nie było tylu wykorzenionych ludzi jak obecnie; właśnie teraz ONZ opublikowało nowe, przerażające dane liczbowe na temat uchodźców. Pod koniec 2014 roku na całym świecie było to 59,5 milionów ludzi, 8 milionów ludzi więcej niż zaledwie rok wcześniej. Nigdy wcześniej liczba uchodźców nie osiągnęła podobnych rozmiarów. W ogromnej większości są to wypędzeni we własnym kraju: prawie 40 procent ludności w Syrii, setki tysięcy ludzi w Iraku, w Sudanie Południowym, w Kongo i w Nigerii. Połowę wszystkich uchodźców stanowią dzieci i młodzież poniżej 18. roku życia – to szczególnie przygnębiające! Nawet Europa staje w obliczu masowego wzrostu uchodźców w obrębie swojego kontynentu. Na Ukrainie ich liczba wzrosła do prawie 650.000.

Wielu uchodźców pozostaje w pobliżu swojej ojczyzny, gdyż mają nadzieję na szybki powrót. Spotkałem kilku z nich: syryjskie rodziny w obozie w Turcji. Ale coraz więcej ludzi ryzykuje wybierając coraz dalsze, bardziej niebezpieczne i kosztowniejsze drogi ucieczki, aby spróbować wszystko zacząć od nowa; wielu podąża w kierunku Europy, tego miejsca ich tęsknoty, kontynentu wolności i dobrobytu, który im i ich rodzinom ma umożliwić lepsze życie bez strachu, przemocy i głodu. Spotkałem również kilku z nich: na przykład młodych ludzi z Zachodniej Afryki w obozie na Malcie.

Tygodniami czy miesiącami a niekiedy latami są w drodze, zdani na łaskę i niełaskę rabusiów, szantażystów i tych, którzy się trudnią przemytem ludzi. Padają ofiarą wyzysku, rabunków, tortur, seksualnych nadużyć. I ryzykują życiem, kiedy udają się w drogę przeładowanymi ciężarówkami przez Saharę i w podróż na Morzu Śródziemnym statkami, które nadają się na złom oraz niesprawnymi pontonami i drewnianymi łodziami. Przeżyta trauma pogłębia się u wielu z nich w trakcie ucieczki.

Obecni uchodźcy są nie tylko politycznymi spadkobiercami prześladowanych w trakcie dyktatury nazistowskiej, są nie tylko spadkobiercami wypędzonych pod koniec wojny. Łączy ich również pokrewieństwo ducha z tymi prześladowanymi i zubożałymi ludźmi w miastach i wsiach XIX wieku, tutaj w naszym regionie, których Edgar Reitz przypomniał choćby w przejmujący sposób w swoim filmie „Druga Ojczyzna”. Prawie o tym zapomnieliśmy, że również Niemcy były niegdyś krajem pełnym zrozpaczonych, żyjących nadzieją emigrantów. Prawie pięć i pół miliona Niemców wyruszyło pomiędzy 1812 a 1912 rokiem w niepewną drogę, aby – pomimo bardzo niebezpiecznej podróży przez Atlantyk – zaryzykować w Ameryce nowy początek. Uciekali przed nędzą, przed represjami politycznymi bądź przed nietolerancją religijną – tak jak uchodźcy i wielu emigrantów obecnie.

Stoimy przed dużym wyzwaniem, wyzwaniem nowego rodzaju i nowych wymiarów. W ostatnich 5 latach nastąpił wybuch bądź wznowienie co najmniej 15 nowych konfliktów – w Afryce, na Bliskim Wschodzie a również w Europie. Struktury państwowe całych regionów grożą rozpadem bądź już uległy rozpadowi. Im dłużej trwają wojny domowe, terror islamski, konflikty zbrojne pomiędzy rządami a rebeliantami i separatystami, im większe kręgi zatacza anarchia, ubóstwo, korupcja i brak perspektyw, tym bardziej ludzie będą opuszczali swoje rodziny i swoich przyjaciół oraz swoją ojczyznę. Liczba uchodźców będzie – również średniookresowo – wzrastała w dalszym ciągu.

W obliczu tego dramatycznego rozwoju wydarzeń powinniśmy patrzeć z szerszej perspektywy. Polityka wobec uchodźców już od dawna jest czymś więcej niż tylko polityką wewnętrzną. Polityka wobec uchodźców już od dawna staje się częścią naszej polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i rozwoju.

Zacznijmy od tego, co powinno być oczywistością; jest to moim zdaniem moralny obowiązek wszystkich państw europejskich, aby chronić uchodźców przed śmiercią w Morzu Śródziemnym. Stracilibyśmy szacunek dla samych siebie, gdy-byśmy pozostawili samych sobie tych ludzi, którzy przed bramami naszego kontynentu dryfują na morzu.

Powinno to też moim zdaniem również dalej stanowić oczywisty moralny obowiązek wszystkich państw europejskich, aby zapewnić bezpieczne schronienie tym ludziom, którzy – jak to określa ustawa zasadnicza w artykule 16a oraz przepisy Genewskiej ochrony uchodźców – są prześladowani z politycznych, etnicznych, religijnych i rasistowskich powodów. Tego typu ochrona nie podlega moim zdaniem negocjacji i obowiązuje tak długo, aż ludzie ci będą mogli bezpiecznie wrócić do swojej ojczyzny bądź pozostać w Niemczech czy też gdzie indziej w bezpiecznym miejscu.

Niemcy nauczyły się obchodzenia się z azylantami. Dziś reagujemy zupełnie inaczej na wzrost liczby uchodźców niż jeszcze dwadzieścia lat temu. Cieszy mnie, ile zainteresowania okazują liczni obywatele naszego kraju wobec uchodźców wojen domowych i politycznie prześladowanych, ile przejmują patronatów, przekazują umiejętności językowe, wspierają azylantów podczas załatwiania spraw urzędowych, dają pokoje do dyspozycji. Spojrzenie na cierpienie drugiego człowieka – to wyostrzyło się w naszym kraju i powinniśmy się z tego cieszyć - i nie powinien mieć końca ten proces dalszego uczenia i dalszego rozwoju.

W dyskusji na temat postępowania z uchodźcami trzeba jeszcze wiele wyjaśnić. Po pierwsze należy porozumieć się co do faktów. Prawie połowa osób ubiegających się o azyl pochodzi obecnie jeszcze z Zachodnich Bałkanów, którego kraje po części zostały przez

ustawodawcę zakwalifikowane, pomimo pewnych wątpliwości, jako bezpieczne kraje pochodzenia. Odsetek uznania za uchodźców z tego obszaru waha się od 0,1 do 0,2 procent. Jednak druga połowa osób ubiegających się o azyl w Niemczech pochodzi z krajów, w których panuje wojna, terror bądź dyktatura – w chwili obecnej - przede wszystkim z Syrii, Erytrei i z Iraku. W odniesieniu do tych krajów odsetek uznania za uchodźców wynosi pomiędzy 70 a ponad 90 procent.

Są wśród nich, oprócz wielu muzułmanów, również chrześcijanie i jazydzi. Ludzie, którzy zostali wypędzeni ze swoich wsi, zmuszani do zmiany wiary albo płacenia okupu. Ich dzieci zmarły z pragnienia i z głodu podczas ucieczki; ich żony sprzedano jako łup. Są wśród nich małe dzieci bez opieki, dzieci i młodzież, którzy utracili swoich krewnych w czasie konfliktów zbrojnych lub podczas ucieczki. Wszyscy oni szukają wolnego i bezpiecznego kraju. Kraju, w którym będą mogli wyznawać swoją wiarę, w którym nie będą wykorzystywani, nie będą cierpieli ucisku i przemocy. Kraju, w którym sami będą mogli w wolności decydować o swoim życiu.

Wiemy, że ani Niemcy ani Europa w sumie nie mogą dać schronienia i przyszłości wszystkim, którzy tego pragną. Polityka wobec uchodźców musi zatem wychodzić daleko poza Unię Europejską. Musimy mocniej niż do tej pory wspierać państwa bezpośrednio sąsiadujące z regionami kryzysowymi. Musimy bardziej niż do tej pory zatroszczyć się o stabilizację krajów Północnej Afryki i szczególnie też Bałkanów Zachodnich. A ponieważ jest tutaj pan minister spraw zagranicznych, chcę w pełen uznania sposób mówić o staraniach niemieckiego rządu federalnego w odniesieniu do nieustannego rozwijania politycznej aktywności, właśnie na tych tak trudnych polach. Dziękuję za to. W końcu musi nam w dalszym ciągu zależeć na celowym zwalczaniu miejscowych przyczyn uchodźstwa – mając na uwadze, że wszystko, co czynimy, będzie przynosiło znikome efekty, dopóki rządy nie wezmą bardziej w swoje ręce budowania dla swoich narodów przyszłości pokojowej, bezpiecznej oraz takiej, dla której warto żyć.

Przyjrzyjmy się zatem przede wszystkim naszym możliwościom w Niemczech i w Europie, tutaj, gdzie mamy wpływ i gdzie bezpośrednio ponosimy odpowiedzialność. Wzmocniliśmy co prawda ratownictwo morskie na Morzu Śródziemnym, nie wyjaśniliśmy za to wiele innych kwestii: jak będziemy zwalczać bandy trudniące się kryminalnym procederem przemytu ludzi? Jak będą wyglądały nowe, pewne formy uznania za uchodźców? Jak będą rozdzielani uchodźcy w Europie w sposób bardziej sprawiedliwy, w jaki sposób we wszystkich państwach członkowskich zostanie zbudowany system azylowy na bazie podobnych standardów? Jak po ludzku będziemy postępowali z osobami starającymi się o azyl, których wniosek został odrzucony?

Oraz, też nie bez znaczenia: Jak uregulujemy imigrację niezależnie od azylu?

Krótko mówiąc: W jaki sposób zabezpieczymy to, abyśmy, z uwagi na rozmiary problemu, czynili więcej? A mianowicie więcej wszystkiego: więcej przyjmowali i więcej pomagali, równocześnie zaś lepiej sterowali, szybciej podejmowali decyzję, oraz, tak, również bardziej konsekwentnie odrzucali – abyśmy zachowali zdolność do przyjmowania tych, do których bezwarunkowej ochrony się zobowiązaliśmy i którzy wymagają naszej pomocy bardziej niż inni.

W ostatnim czasie słychać mianowicie znów pytanie: ilu uchodźców jest w ogóle w stanie wytrzymać nasze społeczeństwo? Naród żyje przecież z poczucia przynależności, zaufania, współpracy i współodczuwania wśród swoich obywateli. Uchodźcy i inni migranci zwiększają z jednej strony socjalną i kulturową różnorodność i stymulują innowacyjność społeczeństwa. Dlatego mówimy w tych przypadkach o ubogaceniu. Z drugiej zaś strony wiemy z najnowszych badań naukowych, że wzajemny respekt i gotowość do solidarności wewnątrz społeczeństwa mogłyby się skurczyć, gdyby przykładowo w aglomeracjach zbyt szybko i zbyt mocno rosła liczba uchodźców i migrantów bądź też dystans kulturowy wydawałby się zbyt duży.

Równocześnie zaś nie wolno nam nie dostrzec możliwości, jakimi dysponują uchodźcy i szans dla naszego społeczeństwa. Musimy sobie ciągle na nowo przypominać o tym, jak ogromny udział w dokonanym z powodzeniem budowaniu Niemiec mieli uchodźcy i wypędzeni. Właśnie tego ducha, szukającego nowego początku i chcącego nadawać kształt przyszłości, dostrzegam również u wielu dzisiejszych uchodźców.

O wykorzenionych chcieliśmy dziś mówić.

O uchodźcach i wypędzonych, zmuszonych do emigracji.

I widzimy, że trafiamy w centrum wielkiego tematu światowej polityki a równocześnie w centrum wielkiego politycznego i moralnego dylematu.

W dążeniu do równowagi pomiędzy ideałami humanizmu a tzw. Realpolitik nie można właśnie znaleźć idealnego rozwiązania. Nie ma czegoś takiego przecież prawie nigdy. W polityce możemy podejmować decyzję pomiędzy dobrymi a mniej dobrymi rozwiązaniami, niekiedy nawet tylko pomiędzy tymi mniej złymi rozwiązaniami. Ale to właśnie jest polityka.

70 lat temu biedne i zniszczone Niemcy były w stanie zintegrować miliony uchodźców. Nie myślimy dziś o nas zbyt małostkowo. Miejmy zaufanie w siły, którymi dysponuje ten kraj. Potrzeba jest też nam zawsze obrazu samych siebie, na którym znajdziemy oparcie. I będziemy w stanie zaakceptować siebie na dłuższą metę tylko wówczas, jeżeli dziś zrobimy wszystko to, co jest dziś w naszej mocy.

Dlaczego odnoszące sukcesy ekonomiczne i stabilne politycznie Niemcy nie miałyby być do tego zdolne, aby w obecnych wyzwaniach rozpoznać szanse na przyszłość?